Laura Bellini

Wszystko oprócz twojego numeru

Bez ekranów łatwiej się zobaczyć.
Trudniej ukryć prawdę



Wszystko oprócz twojego numeru

Bez ekranów łatwiej się zobaczyć. Trudniej ukryć prawdę

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384839874

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Zasady, których nie było w regulaminie 12
Rozdział 2 - Wszystko oprócz numeru 23
Rozdział 3 - Miejsce, które przecieka 36
Rozdział 4 - Po godzinach 48
Rozdział 5 - Prawo do odmowy 63
Rozdział 6 - Chwila, której nie chciałam przerywać 77
Rozdział 7 - To, czego nie powiedzieliśmy 93
Rozdział 8 - Po drugiej stronie ekranu 105
Rozdział 9 - Ryzyko, które wybieramy 118
Rozdział 10 - Bez miejsca na półprawdy 130
Rozdział 11 - Miejsce dla dwojga 144
Rozdział 12 - Adres, który wracał 155
Rozdział 13 - Cena pozostania 167
Rozdział 14 - Prawda między nami 179
Rozdział 15 - Nazwisko na drugiej stronie umowy 191
Rozdział 16 - Cisza po drugiej stronie 206
Rozdział 17 - To, co zostaje, kiedy odchodzimy 217
Rozdział 18 - Dokumenty zamiast obietnic 228
Rozdział 19 - Uczciwe warunki 238
Rozdział 20 - Wszystko, co wybieramy 251

INTRO

Pierwszy raz od jedenastu lat rozważałam zamknięcie księgarni wcześniej nie dlatego, że brakowało klientów, ale dlatego, że bałam się, iż ktoś jednak przyjdzie.

Był czwartek, kilka minut po osiemnastej. Za oknami warszawskiej ulicy deszcz rozmazywał światła samochodów, a wewnątrz pachniało papierem, mokrymi płaszczami i kawą, którą zdążyłam już dwukrotnie podgrzać. Stałam na drabinie, usiłując przyczepić do regału granatową tabliczkę z napisem „Tu zaczynają się rozmowy", kiedy zadzwonił telefon.

Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko właścicielki lokalu.

Zeszłam z drabiny ostrożniej, niż wymagały tego trzy szczeble. Od tygodnia czekałam na odpowiedź w sprawie przedłużenia najmu. Od trzech miesięcy odkładałam pieniądze na remont tylnej sali, a od dwóch lat przekonywałam samą siebie, że trzydziestojednoletnia kobieta może prowadzić niezależną księgarnię w centrum Warszawy bez szukania bogatego wspólnika.

- Pani Zofio - odezwała się pani Malinowska. - Musimy przełożyć podpisanie aneksu.

Spojrzałam na przygotowany na ladzie segregator.

- Przecież ustaliłyśmy piątek.

- Sytuacja się zmieniła. Pojawiło się zainteresowanie lokalem.

- Jakiego rodzaju zainteresowanie?

Przez chwilę słyszałam jedynie ciche stukanie klawiatury.

- Biznesowe. Proszę się nie niepokoić przedwcześnie. Pani umowa nadal obowiązuje.

- Do końca stycznia.

- Wiem, do kiedy obowiązuje umowa, pani Zofio.

W jej głosie zabrzmiało zniecierpliwienie, którego wcześniej nie znałam. Zawsze rozmawiałyśmy spokojnie, nawet gdy dwukrotnie prosiłam o rozłożenie podwyżki czynszu na raty. Teraz miałam wrażenie, że przeszkadzam jej w czymś ważniejszym.

- Czy dostała pani konkretną ofertę?

- Na razie nie mogę o tym rozmawiać. Odezwę się w przyszłym tygodniu.

Połączenie się zakończyło.

Przez moment patrzyłam na ciemny ekran. Potem odłożyłam telefon do szuflady i wróciłam do tabliczki. Taśma odkleiła się od drewna, zanim zdążyłam wejść na drabinę.

- Doskonale - mruknęłam.

Mój plan był prosty, przynajmniej na papierze. Chciałam przekształcić tylną salę księgarni w miejsce kameralnych spotkań, otwartych wieczorów literackich i rozmów, podczas których nikt nie zerkałby co trzydzieści sekund na telefon. Klub „Poza Zasięgiem", który od miesiąca prowadziłam z przyjaciółką Martą, miał być pierwszym krokiem. Gdyby udało się przyciągnąć stałych gości, mogłabym zwiększyć przychody, zatrudnić kogoś na pół etatu i wreszcie przestać pracować po sześć dni w tygodniu.

Nie marzyłam o imperium księgarskim. Chciałam móc zamknąć drzwi o dziewiętnastej, pójść na kolację i nie przeliczać w głowie, ile książek muszę sprzedać, żeby opłacić następny miesiąc.

Tego wieczoru miało przyjść dwanaście osób. Marta zaproponowała, żebyśmy na próbę zorganizowały spotkanie bez prowadzącego, w którym uczestnicy sami wybiorą temat rozmowy. Ja zadbałam o książki, krzesła i herbatę. Ona obiecała przyprowadzić ludzi.

O osiemnastej dziesięć dostałam od niej wiadomość.

Zosia, utknęłam w pracy. Będę za pół godziny. Dasz radę sama?

Odpisałam, że oczywiście.

Było to kłamstwo niewielkie, codzienne i tak dobrze wyćwiczone, że nawet nie poczułam wyrzutów sumienia.

Ustawiłam ostatnie krzesło, kiedy zadźwięczał dzwonek nad drzwiami.

- Jeszcze zamknięte? - zapytał męski głos.

Odwróciłam się z kartonem świec w rękach.

W progu stał mężczyzna w ciemnym płaszczu, z wilgotnymi włosami i papierową torbą, której dno wyglądało na zdecydowanie zbyt mokre. Miał około trzydziestu pięciu lat. Nie przypominał człowieka szukającego bestselleru na prezent w ostatniej chwili. Rozglądał się z uwagą, jakby próbował zrozumieć reguły miejsca, do którego właśnie wszedł.

- Księgarnia jest otwarta - odpowiedziałam. - Klub zaczyna o dziewiętnastej.

- W takim razie mam czterdzieści minut.

- Na co?

- Żeby dowiedzieć się, czy powinienem zostać.

Odłożyłam karton na ladę.

- To zależy, czego pan szuka.

- Czegoś, czego nie znajdę w telefonie.

Powiedział to bez uśmiechu, ale w jego spojrzeniu pojawiło się rozbawienie. Zauważyłam drobną bliznę przy lewej brwi i sposób, w jaki przytrzymywał drzwi, żeby nie uderzyły o framugę. Miał spokojne ruchy człowieka, który nie potrzebował zwracać na siebie uwagi.

- To dość szeroka kategoria - zauważyłam.

- Tym lepiej. Nie lubię, kiedy ktoś za szybko ogranicza mi wybór.

- A ja nie lubię klientów, którzy nie wiedzą, czego chcą.

- Czyli zaczynamy od konfliktu.

Tym razem uśmiechnęłam się pierwsza.

Podszedł do stołu z książkami, ale zamiast przeglądać okładki, spojrzał na ustawiony obok wiklinowy koszyk. Przywiązałam do niego kartkę: „Telefony odpoczywają tutaj".

- Naprawdę wszyscy je oddają?

- Dobrowolnie. Można też wyłączyć i zatrzymać przy sobie. Chodzi o zasadę, nie o konfiskatę.

- Rozsądnie.

- Brzmi pan na rozczarowanego.

- Trochę. Spodziewałem się bardziej radykalnej organizacji.

- Przykro mi. Nie zabieramy też zegarków ani nie każemy recytować poezji przy świecach.

Roześmiał się cicho. Był to przyjemny, niski śmiech, który nie domagał się odpowiedzi. Nagle uświadomiłam sobie, że od kilku minut nie myślałam o telefonie leżącym w szufladzie.

Mężczyzna zdjął płaszcz i przewiesił go przez ramię.

- Kamil Borowski - przedstawił się.

- Zofia Bielska.

- Pani księgarnia?

- Moja działalność. Lokal wynajmuję.

- I pani pomysł na klub?

- Mój i przyjaciółki.

Przytaknął, lecz jego spojrzenie zatrzymało się na segregatorze wystającym spod lady. Wysunęłam go odruchowo głębiej. Nie wiedziałam, dlaczego poczułam potrzebę ukrycia dokumentów przed nieznajomym, który nawet nie pytał o finanse. Może dlatego, że po telefonie pani Malinowskiej każdy interesujący się lokalem wydawał mi się potencjalnym zagrożeniem.

- Pracuje pan z książkami? - zapytałam.

- Z aplikacjami.

Uniosłam brwi.

- To interesujący wybór miejsca na wieczór.

- Wiem. Zawodowa zdrada.

- Raczej próba rehabilitacji.

- Możliwe. Projektuję rzeczy, przez które ludzie coraz rzadziej patrzą na siebie przy stole. Pomyślałem, że warto sprawdzić, jak wygląda odwrotność.

Nie było w tym wyznaniu ani dumy, ani kokieterii. Mówił rzeczowo, a jednak przez chwilę wydawało mi się, że pod prostym zdaniem kryje się historia, której nie chciał jeszcze opowiadać.

- I co pan widzi? - spytałam.

Rozejrzał się po niedużym pomieszczeniu. Po lampach dających ciepłe światło, starym parkiecie, popękanej farbie przy kaloryferze i kartkach z odręcznymi rekomendacjami książek.

- Miejsce, w którym ktoś naprawdę chce, żeby ludzie zostali.

Nie spodziewałam się takiej odpowiedzi. Przygotowałam sobie kilka ironicznych komentarzy na temat technologii, ale żaden nie pasował do tego, co właśnie powiedział.

- Zwykle chcę, żeby kupili książkę - odparłam.

- A potem?

- Żeby wrócili.

- Właśnie.

Przez moment patrzyliśmy na siebie ponad stołem. Nie próbował wypełnić ciszy. To było dziwnie intymne, choć dzieliły nas niemal dwa metry i nie wiedziałam o nim niczego poza imieniem, nazwiskiem oraz zawodem.

Zza lady dobiegł stłumiony dźwięk telefonu.

Nie ruszyłam się.

Zadzwonił ponownie.

Kamil spojrzał w stronę szuflady, a potem na mnie.

- Może pani odebrać.

- Wiem.

- Nie chciałem przeszkadzać.

- To nie pan przeszkadza.

Wypowiedziałam te słowa ostrzej, niż zamierzałam. Jego twarz spoważniała, ale nie zaczął przepraszać za coś, czego nie zrobił.

- Zła wiadomość? - zapytał po chwili.

Zawahałam się.

- Jeszcze nie wiem.

Kiwnął głową, przyjmując tę odpowiedź bez dalszych pytań. Potem podniósł oderwaną tabliczkę, która leżała obok drabiny.

- Chce pani, żebym ją przytrzymał?

Spojrzałam na napis, a następnie na jego wyciągniętą dłoń. Zwykle nie prosiłam obcych o pomoc. Nie dlatego, że uważałam ich za niekompetentnych. Po prostu każda przyjęta przysługa wydawała mi się początkiem długu, którego warunków jeszcze nie znałam.

- Tylko przez chwilę - powiedziałam.

- Ile będzie trzeba.

Podałam mu tabliczkę. Nasze palce zetknęły się na sekundę, wystarczająco krótko, by niczego nie oznaczała, i wystarczająco długo, żebym zauważyła ciepło jego dłoni.

Kamil stanął obok regału, trzymając granatowy karton dokładnie tam, gdzie wskazałam. Poprawiałam taśmę, czując zapach deszczu na jego płaszczu i delikatną nutę cedru.

- Proszę odrobinę wyżej - poprosiłam.

- Tak?

- Idealnie.

- Rzadko słyszę to słowo w pracy.

- Proszę się nie przyzwyczajać.

Uśmiechnął się, a ja pomyślałam, że pierwszy raz od dawna naprawdę chciałabym, żeby ktoś został w mojej księgarni dłużej, niż wymaga tego zakup książki.

Wtedy telefon zadzwonił po raz trzeci.

Tym razem wyjęłam go z szuflady. Na ekranie zobaczyłam krótką wiadomość od pani Malinowskiej.

Proszę na razie wstrzymać wszelkie inwestycje w lokal. Otrzymałam propozycję, którą muszę rozważyć.

Przeczytałam ją dwukrotnie.

- Wszystko w porządku? - zapytał Kamil.

Stał blisko, ale nie próbował zaglądać mi przez ramię. Zauważyłam tylko, że jego spojrzenie na chwilę przesunęło się ku ekranowi, zanim odwrócił wzrok.

Schowałam telefon do kieszeni.

- Ktoś może odebrać mi to miejsce.

Kamil powoli opuścił rękę. Tabliczka wisiała już prosto.

- Jest pani pewna?

- Nie. I chyba właśnie to jest najgorsze.

Przez chwilę milczał. Na zewnątrz deszcz przybrał na sile, a w szybie odbiły się nasze sylwetki: moja z telefonem w dłoni i jego, stojącego tuż obok.

- Jeśli chce pani dziś odwołać spotkanie, zrozumiem - powiedział.

Spojrzałam na przygotowane krzesła. Potem na koszyk przeznaczony na telefony i na mężczyznę, który pojawił się

dokładnie wtedy, gdy mój starannie ułożony plan zaczął się rozpadać.

- Nie odwołam - odpowiedziałam. - Właśnie dlatego muszę je zorganizować.

Przytaknął z czymś na kształt uznania.

- W takim razie zostanę.

Nie zapytał, czy potrzebuję ratunku. Nie obiecał rozwiązania. Po prostu został przy regale, gdy poprawiałam ostatni krzywo ustawiony tom.

Powinnam była myśleć wyłącznie o księgarni. O umowie. O tym, jak ochronić miejsce, na które pracowałam przez całe dorosłe życie.

Zamiast tego, kiedy Kamil odwrócił się ku mnie z pytającym uśmiechem, przyszło mi do głowy coś znacznie mniej rozsądnego.

Czy potrafiłabym pozwolić mu zbliżyć się do mnie, skoro właśnie zaczynałam tracić poczucie bezpieczeństwa?

Rozdział 1 - Zasady, których nie było w regulaminie

O dziewiętnastej trzy minuty w księgarni znajdowało się jedenaście osób, dwanaście kubków i jeden mężczyzna, który najwyraźniej postanowił sprawdzić granice mojej cierpliwości.

- Proponuję zacząć od czegoś prostszego niż przedstawianie się - powiedział Kamil, gdy wyjaśniłam zasady klubu. - Każdy mógłby powiedzieć, dlaczego właściwie tu przyszedł.

Stałam przy stole z herbatą i zastanawiałam się, czy wyrzucenie uczestnika przed rozpoczęciem pierwszego spotkania nie byłoby przypadkiem sprzeczne z ideą otwartości.

- Przedstawianie się jest dość prostą czynnością - zauważyłam.

- Dla ludzi, którzy lubią mówić o sobie. Nie wszyscy lubią.

Siedząca najbliżej okna kobieta w czerwonym swetrze przytaknęła. Dwóch studentów wymieniło spojrzenia, a starszy mężczyzna z charakterystyczną siwą brodą odłożył filiżankę, jakby właśnie usłyszał argument zasługujący na szczególną uwagę.

Nie chciałam przyznawać Kamilowi racji. Zwłaszcza że stał oparty o regał w sposób tak swobodny, jakby od lat należał do tego miejsca.

- Dobrze - powiedziałam. - Spróbujmy. Ale bez obowiązku zwierzania się z życia prywatnego.

- Zofia, prawda? - odezwała się kobieta w czerwonym swetrze. - Mogę zacząć?

Skinęłam głową.

- Mam na imię Irena. Od pięciu lat pracuję zdalnie. Wczoraj zdałam sobie sprawę, że przez cały dzień rozmawiałam wyłącznie z kurierem. Powiedział mi „dzień dobry", a ja odpowiedziałam „nawzajem".

Wybuch śmiechu rozluźnił atmosferę skuteczniej niż przygotowane przeze mnie pytania.

Obserwowałam twarze uczestników, gdy kolejno opowiadali, co ich przyprowadziło. Niektórzy byli samotni. Inni zmęczeni pracą. Jeden z mężczyzn przyznał, że ostatnią dłuższą rozmowę z nieznajomą osobą odbył podczas awarii pociągu. Młoda kobieta powiedziała, że chciałaby nauczyć się nie sprawdzać telefonu podczas każdego niezręcznego milczenia.

Kiedy przyszła kolej Kamila, spojrzał na mnie.

- Przyszedłem, ponieważ zawodowo zajmuję się przyciąganiem ludzkiej uwagi. Coraz częściej mam wrażenie, że nie potrafię już rozpoznać, kiedy ktoś poświęca mi ją naprawdę.

Powiedział to spokojnie. Bez próby rozśmieszenia kogokolwiek.

Przez moment w sali zapanowała cisza.

- To brzmi trochę smutno - zauważyła Irena.

- Bywa - odpowiedział. - Ale mam nadzieję, że jest odwracalne.

Nie wiem, dlaczego właśnie wtedy poczułam potrzebę przyjrzenia mu się dokładniej. Widziałam przecież wielu mężczyzn, którzy potrafili wypowiedzieć kilka interesujących zdań. Znałam również takich, którzy traktowali własną wrażliwość jak starannie dobrany element garderoby.

W Kamilu najbardziej niepokoiło mnie to, że nie wyglądał na człowieka starającego się zrobić wrażenie.

A jednak zrobił.

Spotkanie nabrało tempa. Ludzie zaczęli rozmawiać o miejscach, w których czuli się swobodnie, o znajomościach kończących się po trzech wiadomościach i o nieumiejętności znoszenia ciszy. Kiedy starszy mężczyzna opowiedział historię poznania żony w kolejce po pomarańcze w latach osiemdziesiątych, wszyscy słuchali z uwagą, której nie dałoby się wymusić żadnym regulaminem.

Dopiero wtedy zauważyłam, że nie przyszło mi do głowy sprawdzenie telefonu.

Przez pierwsze pół godziny nie myślałam nawet o wiadomości od właścicielki lokalu.

W drzwiach pojawiła się Marta, przemoczona i wyraźnie zdyszana. Zatrzymała się na moment, widząc uczestników pochylonych ku sobie w niewielkich grupach.

Podeszła do mnie bezszelestnie.

- Wygląda lepiej, niż się spodziewałam - szepnęła.

- Dziękuję za ogromne zaufanie.

- Wiesz, co mam na myśli. Kto to?

Spojrzała dyskretnie w stronę Kamila.

- Uczestnik.

- Taki zwyczajny?

- Marta.

- Pytam wyłącznie w celach organizacyjnych.

Znałam ten ton. Moja przyjaciółka potrafiła zamienić trzysekundową obserwację w historię miłosną, zanim zainteresowane osoby zdążyły wymienić nazwiska.

- Pomóż mi z herbatą - poprosiłam.

Uśmiechnęła się, lecz tym razem nie skomentowała mojego uniku.

O dwudziestej przyszła pora na ostatnią część spotkania. Zaplanowałam, że uczestnicy wybiorą spośród przygotowanych książek jedną, którą chcieliby komuś polecić. Nie musieli jej znać. Wystarczyło, że zainteresował ich tytuł, okładka albo pierwsze zdanie.

Pomysł okazał się lepszy, niż przypuszczałam. W ciągu kilkunastu minut między regałami powstały niewielkie grupy, a

rozmowy zaczęły przypominać te, których brakowało mi w księgarni najbardziej: swobodne, nieśpieszne i pozbawione konieczności udowadniania czegokolwiek.

Kamil podszedł do półki z literaturą podróżniczą. Wybrał stary zbiór reportaży o miastach, których już nie było w kształcie opisanym przez autora.

- Interesujący wybór - powiedziałam.

- Dlaczego?

- Większość ludzi sięga po coś nowego. Pan wybrał książkę, która ma ponad trzydzieści lat.

- Lubię wiedzieć, co przetrwało zmianę.

Spojrzał na mnie znad okładki.

- A pani?

- Co ja?

- Co chciałaby pani ocalić, gdyby mogła wybrać tylko jedną rzecz z tego miejsca?

Pytanie trafiło w punkt, którego nie byłam przygotowana odsłonić.

Rozejrzałam się po księgarni. Przez jedenaście lat zmieniły się półki, oświetlenie, system sprzedaży i niemal wszystkie meble. Została tylko stara drewniana lada, przy której stała moja mama, kiedy po raz pierwszy przyszłam tu jako pracownica.

- Nie potrafię wybrać - odpowiedziałam.

- To też jest odpowiedź.

- Niezbyt użyteczna.

- Niekoniecznie.

Odłożył książkę na miejsce, chociaż wcześniej sprawiał wrażenie, że zamierza ją kupić.

- Może próbuje pani ratować coś większego niż wyposażenie.

Nie odpowiedziałam. Za dużo widział jak na człowieka, który spędził tutaj niespełna dwie godziny.

Pod koniec spotkania Irena zapytała, kiedy odbędzie się kolejne.

Otworzyłam usta, ale zanim zdążyłam odpowiedzieć, Marta spojrzała na mnie z niepokojem. Wiedziała o wiadomości od właścicielki, ponieważ pokazałam jej ją podczas krótkiej przerwy.

- Za tydzień - powiedziałam.

Kamil odwrócił głowę.

- Na pewno?

To jedno pytanie wystarczyło, żebym poczuła irytację.

- Tak.

- Nie chciałem podważać pani decyzji.

- A jednak to pan zrobił.

Kilka osób spojrzało w naszą stronę. Uśmiechnęłam się do uczestników i wyjaśniłam, że szczegóły kolejnego spotkania pojawią się na tablicy informacyjnej oraz stronie księgarni. Później pomogłam Marcie odprowadzić gości do drzwi.

Gdy ostatnia osoba wyszła, było już po dwudziestej pierwszej.

Zostały po nich niedopite herbaty, kilka przesuniętych krzeseł i niezwykłe poczucie, że księgarnia przez moment należała do czegoś większego niż codzienne zakupy.

Marta zaczęła zbierać kubki.

- To był sukces - oznajmiła.

- Jedenaście osób nie oznacza jeszcze sukcesu.

- Jedenaście osób, które nie chciały wychodzić, oznacza całkiem dużo.

Kamil podniósł dwa krzesła i przeniósł je pod ścianę.

- Mogę pomóc?

- Już pan pomaga - odpowiedziałam.

- Zauważyłem.

Marta spojrzała na nas, a potem na zegarek.

- Muszę zadzwonić do Pawła. Obiecałam, że wrócę przed dziesiątą. Zosiu, poradzisz sobie?

- Oczywiście.

Podeszła do mnie i ścisnęła moje ramię.

- Zadzwonię rano.

Po jej wyjściu księgarnia wydała mi się nagle większa. Słyszałam deszcz uderzający o szybę i szelest papieru, gdy Kamil układał rozrzucone książki.

- Nie musi pan tego robić - powiedziałam.

- Wiem.

- Mam wrażenie, że często pan to powtarza.

- Bo często słyszę, że czegoś nie muszę.

Wzięłam od niego stos książek.

- Zwykle ludzie rozumieją taką informację jako sugestię.

- A pani naprawdę chce, żebym wyszedł?

Nie odpowiedziałam od razu.

Jego spojrzenie było spokojne, ale pytanie pozbawione żartu. Stał dostatecznie daleko, żebym nie czuła się osaczona, i dostatecznie blisko, żebym zauważyła drobne krople deszczu na jego rękawie.

- Chcę skończyć sprzątanie - powiedziałam w końcu.

- W takim razie mamy wspólny cel.

Przez kilka minut pracowaliśmy w ciszy. Kamil nie zadawał zbędnych pytań. Nie przestawiał rzeczy bez pozwolenia. Kiedy nie wiedział, gdzie odłożyć filiżanki, zapytał zamiast zgadywać.

Dopiero przy ostatnim krześle odezwał się ponownie.

- Dlaczego nie była pani pewna kolejnego spotkania?

Oparłam dłonie na blacie.

- Bo nie wiem, czy za trzy miesiące nadal będę mogła tutaj organizować spotkania.

Nie planowałam mu tego mówić. Słowa wydostały się jednak zbyt łatwo, jakby zmęczenie odebrało mi część ostrożności.

Kamil odstawił krzesło.

- Chodzi o umowę najmu?

Przyjrzałam mu się uważniej.

- Skąd taki pomysł?

- Wspomniała pani, że wynajmuje lokal. A właściciele nieruchomości rzadko pytają o zdanie najemców, kiedy pojawia się atrakcyjniejsza propozycja.

- Ma pan doświadczenie w tej dziedzinie?

Przez krótką chwilę jego twarz stała się nieprzenikniona.

- Pracowałem przy projektach, w których decyzje dotyczące przestrzeni podejmowano wyłącznie na podstawie liczb.

- Brzmi zachęcająco.

- Nie powiedziałem, że zawsze były dobre.

Sięgnęłam po segregator z dokumentami.

- Nie szukam inwestora, sponsora ani kogoś, kto wytłumaczy mi, dlaczego prowadzenie księgarni jest ekonomicznie nierozsądne.

- Nie zaproponowałem żadnej z tych rzeczy.

- Jeszcze.

Uśmiechnął się lekko, lecz zaraz spoważniał.

- Mogę powiedzieć coś, z czym prawdopodobnie się pani nie zgodzi?

- To chyba pańska ulubiona forma rozpoczynania rozmowy.

- Jeśli chce pani ocalić to miejsce, musi pani oddzielić to, czego naprawdę potrzebuje, od tego, co chciałaby pani zachować bez zmian.

Poczułam, jak prostuję plecy.

- A pan nie powinien oceniać mojej sytuacji po jednym wieczorze.

- Ma pani rację.

Tak łatwe przyznanie mi racji wytrąciło mnie z równowagi.

- Słucham?

- Nie znam pani sytuacji wystarczająco dobrze. Nie powinienem był mówić tak kategorycznie.

Odwrócił na chwilę wzrok ku oknu.

- Ale nadal uważam, że warto sprawdzić, czy problemem jest tylko czynsz, czy także sposób, w jaki ludzie dowiadują się o tym miejscu.

- Ludzie dowiadują się o nim od innych ludzi.

- To dobry początek. Niekoniecznie wystarczający.

- Prowadzi pan firmę od marketingu?

- Projektuję aplikacje. Między innymi takie, które pomagają organizować wydarzenia i budować społeczności.

- Czyli proponuje pan, żebym ratowała klub bez telefonów za pomocą aplikacji.

- Proponuję, żeby technologia kończyła swoją pracę, zanim ludzie usiądą naprzeciwko siebie.

Musiałam przyznać, że nie była to najgorsza odpowiedź.

Kamil podszedł do tablicy korkowej, na której wisiały zapowiedzi wydarzeń i zdjęcia uczestników poprzednich wieczorów czytelniczych.

- Ile osób dowiedziało się o dzisiejszym spotkaniu przypadkiem?

- Kilka.

- A ile przyszłoby, gdyby wiedziało, że takie miejsce istnieje?

- Nie mam pojęcia.

- Właśnie od tego można zacząć. Nie od remontu, reklamy ani kosztownego systemu. Od rozmowy z ludźmi, którzy już tu przyszli.

- To brzmi zaskakująco rozsądnie jak na człowieka tworzącego aplikacje.

- Postaram się częściej panią rozczarowywać w ten sposób.

Przez moment patrzyliśmy na siebie z uśmiechem. Atmosfera zmieniła się niemal niezauważalnie. Nie byliśmy już właścicielką księgarni i przypadkowym gościem. Rozmawialiśmy jak dwoje ludzi, którzy znaleźli temat wart kolejnego spotkania.

Kamil jednak nie skończył.

- Mam jeden warunek, jeśli mielibyśmy nad tym pracować.

Natychmiast zesztywniałam.

- Już pojawiają się warunki?

- Nie chcę podejmować decyzji za panią. Ale nie będę też pomagał tworzyć planu opartego na założeniu, że wszystko musi zostać dokładnie takie samo.

- To moje miejsce.

- I pani decyzje. Chciałbym tylko móc powiedzieć, kiedy coś nie działa.

- Nawet jeśli nie poproszę o opinię?

- Zwłaszcza wtedy powinienem zapytać, czy chce jej pani wysłuchać.

Zastanowiłam się nad odpowiedzią.

W jego propozycji było coś irytującego, ale i uczciwego. Nie próbował przekonywać mnie, że zna rozwiązanie. Oferował własny sposób myślenia, który mogłam przyjąć albo odrzucić.

- A mój warunek jest taki, że nie będzie pan traktował księgarni jak projektu do optymalizacji - powiedziałam.

- Jak mam ją traktować?

Spojrzałam na stare regały, na lampę przy oknie, na drewnianą ladę noszącą ślady setek przesuniętych książek.

- Jak miejsce, które ma znaczenie dla ludzi.

Kamil przytaknął.

- To akurat rozumiem.

Nie wiedziałam, czy mu wierzyć. Wiedziałam natomiast, że chciałam dowiedzieć się, co jeszcze potrafił zrozumieć.

Zamknęłam segregator.

- Proszę przyjść jutro po zamknięciu. Pokażę panu liczby dotyczące klubu. Zobaczymy, czy rzeczywiście ma pan coś sensownego do powiedzenia.

Uśmiechnął się szerzej.

- To zaproszenie?

- Spotkanie robocze.

- Oczywiście.

- Bez żadnych zobowiązań.

- Oprócz punktualności?

- Punktualność jest obowiązkowa.

Założył płaszcz, a potem zatrzymał się przy drzwiach.

- Zofio?

Pierwszy raz wypowiedział moje imię bez formalnego dystansu.

- Tak?

- Dzisiaj, kiedy powiedziała pani, że nie odwoła spotkania, mimo złej wiadomości, pomyślałem, że chciałbym poznać panią również wtedy, gdy nie musi pani wszystkiego kontrolować.

Nie spodziewałam się takiego wyznania. Było zbyt bezpośrednie, żeby uznać je za zwykłą uprzejmość, ale pozbawione nachalności, która kazałaby mi się wycofać.

- A ja chciałabym zobaczyć, czy potrafi pan przez jeden wieczór nie analizować mojego zachowania - odpowiedziałam.

- To może być trudniejsze.

- W takim razie oboje mamy nad czym pracować.

Kamil roześmiał się cicho i otworzył drzwi.

- Do jutra.

Kiedy wyszedł, zamknęłam księgarnię i przez chwilę stałam nieruchomo pośród regałów.

Telefon miałam w kieszeni. Mogłam zadzwonić do Marty, opowiedzieć jej o spotkaniu, o właścicielce lokalu i o mężczyźnie, który pojawił się bez zaproszenia w najbardziej nieodpowiednim momencie.

Zamiast tego wyjęłam kartkę i zapisałam kilka pytań dotyczących klubu.

Pod spodem dopisałam jedno, którego nie zamierzałam zadawać na głos.

Dlaczego właściwie chce mi pomóc?

Przez dłuższą chwilę patrzyłam na te słowa.

Potem zgasiłam światło.

Po raz pierwszy od otrzymania wiadomości od pani Malinowskiej myśl o następnym dniu nie wywoływała wyłącznie niepokoju.

Rozdział 2 - Wszystko oprócz numeru

Następnego ranka Marta weszła do księgarni z dwoma kubkami kawy i miną człowieka, który przyszedł przesłuchać świadka.

- Zanim cokolwiek powiesz, chcę wiedzieć, kim jest ten facet.

Nie podniosłam wzroku znad faktur.

- Dzień dobry również tobie.

- Dzień dobry, Zosiu. Kim jest ten facet?

- Kamil Borowski. Projektuje aplikacje.

- I?

- I był wczoraj na spotkaniu.

Marta postawiła kawę na ladzie.

- Został po spotkaniu.

- Pomagał sprzątać.

- Patrzył na ciebie tak, jakby próbował przeczytać książkę, której nie ma jeszcze w sprzedaży.

Spojrzałam na nią.

- Naprawdę musisz wszystko opisywać w ten sposób?

- Pracuję z książkami. To deformacja zawodowa przez przyjaźń z tobą.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

Marta znała mnie od studiów. Była jedyną osobą, która potrafiła rozpoznać mój nastrój po sposobie układania paragonów. Kiedy byłam zdenerwowana, segregowałam je według dat. Kiedy naprawdę się bałam, zaczynałam poprawiać również ich krawędzie.

Tego ranka leżały przede mną trzy idealnie wyrównane stosy.

- Pani Malinowska znowu się odezwała? - zapytała już poważniej.

Pokręciłam głową.

- Nie. Ale sprawdziłam umowę. Ma obowiązek poinformować mnie o warunkach przedłużenia najmu najpóźniej miesiąc przed jego zakończeniem. To oznacza, że zostało mi trochę czasu.

- A jeśli nie przedłuży?

- Wtedy będę szukała innego rozwiązania.

- Jakiego?

Nie miałam gotowej odpowiedzi.

Księgarnia była moim miejscem od jedenastu lat, odkąd zaczęłam pracować tu jako studentka. Pięć lat temu odkupiłam działalność od poprzedniej właścicielki, która przechodziła na emeryturę. Zmieniłam asortyment, odnowiłam regały, zaczęłam organizować spotkania autorskie. Wciąż jednak funkcjonowałam na granicy opłacalności.

Przeprowadzka oznaczałaby nie tylko koszty. Mogłaby również zniszczyć coś, czego nie dało się wpisać do arkusza kalkulacyjnego: przyzwyczajenie ludzi do konkretnego miejsca.

- Właśnie dlatego chcę rozwinąć klub - powiedziałam.

Marta przyglądała mi się przez moment.

- Kamil ma ci w tym pomóc?

- Zobaczymy, co zaproponuje.

- Czyli umówiłaś się z nim.

- Na rozmowę o organizacji spotkań.

- Naturalnie.

- Marta.

Podniosła ręce w geście kapitulacji.

- Dobrze. Ale nie udawaj, że nie zauważyłaś, jaki jest przystojny.

Wzięłam kawę.

- Zauważyłam.

Moja przyjaciółka zamarła.

- Przepraszam, co?

- Jest przystojny. Ma przyjemny głos i interesujący sposób patrzenia na ludzi. Czy możemy już wrócić do pracy?

Marta uśmiechnęła się tak szeroko, że natychmiast pożałowałam szczerości.

- Zosiu, ty właśnie dobrowolnie przyznałaś, że podoba ci się mężczyzna.

- Nie powiedziałam, że mi się podoba.

- Oczywiście. Przeprowadziłaś wyłącznie obiektywną analizę estetyczną.

Przerwał nam dzwonek nad drzwiami. Do księgarni wszedł starszy pan, który od lat kupował u mnie kryminały dla żony. Marta posłała mi triumfalne spojrzenie i poszła pomóc klientowi.

Zostałam sama z fakturami oraz świadomością, że od wczorajszego wieczoru zbyt często myślałam o kimś, kogo praktycznie nie znałam.

Kamil pojawił się następnego dnia po zamknięciu, dokładnie o dziewiętnastej.

Nie przyniósł laptopa.

Zauważyłam to natychmiast.

- Spodziewałam się, że przyjdzie pan z całym sprzętem analitycznym - powiedziałam, otwierając drzwi.

- Mam notes.

Pokazał mi niewielki zeszyt w ciemnoniebieskiej oprawie.

- Analogowy?

- Staram się dostosować do środowiska.

- A telefon?

- W kieszeni. Wyciszony.

Wpuściłam go do środka.

Miał na sobie ciemne spodnie i jasny sweter, którego rękawy podwinął niedbale do przedramion. Bez płaszcza wyglądał inaczej niż poprzedniego wieczoru. Mniej oficjalnie, a jednocześnie bardziej niebezpiecznie dla mojego przekonania, że spotykaliśmy się wyłącznie z powodów zawodowych.

Przygotowałam na stole zestawienie przychodów z wydarzeń, liczbę uczestników ostatnich spotkań oraz plan wydatków na najbliższe miesiące. Nie zamierzałam pokazywać mu pełnych danych finansowych księgarni. Nie miałam jednak nic przeciwko rozmowie o klubie.

Kamil usiadł naprzeciwko mnie i otworzył notes.

- Zacznijmy od tego, co chce pani osiągnąć.

- Chcę stworzyć stałą społeczność ludzi, którzy będą wracać.

- Ilu?

- Na początek trzydzieści, czterdzieści osób regularnie uczestniczących w spotkaniach.

- A czego oczekują?

- Rozmów. Kontaktu z innymi. Miejsca, w którym nie trzeba niczego udawać.

Zapisał kilka słów.

- A pani czego oczekuje?

Zawahałam się.

- Przecież właśnie powiedziałam.

- Powiedziała pani, czego oczekuje dla klubu. Pytam o panią.

Oparłam się wygodniej.

- Chcę, żeby księgarnia przestała być miejscem, które utrzymuję kosztem całego swojego życia.

Kamil uniósł wzrok.

- To ważna różnica.

- Wiem.

- Jak długo pracuje pani po sześć dni w tygodniu?

- Zbyt długo.

- A kiedy ostatnio miała pani wolny weekend?

Roześmiałam się krótko.

- Nie przyszłam tutaj na terapię.

- Nie próbuję jej prowadzić. Jeśli klub ma pomóc księgarni, nie może stać się kolejnym obowiązkiem, który będzie panią wykańczał.

Tego argumentu nie potrafiłam odrzucić.

Przez następną godzinę rozmawialiśmy o uczestnikach, częstotliwości spotkań i możliwościach współpracy z lokalnymi autorami. Kamil zadawał pytania, których sama sobie nie stawiałam. Nie interesowało go wyłącznie to, ile osób przychodziło. Chciał wiedzieć, dlaczego wracały i co sprawiało, że czuły się częścią grupy.

Kiedy zaproponował prosty formularz zapisów, natychmiast zaprotestowałam.

- Żadnych aplikacji.

- Formularz nie jest aplikacją.

- Zaczyna się od formularza, kończy na powiadomieniach i przypomnieniach.

- Możemy wykorzystać papierową listę.

Spojrzałam na niego podejrzliwie.

- Tak po prostu?